ROZMAITOŚCI.

Dnia 23 grudnia, N.ro 52. roku 1847.

SYN FAL MORSKICH.

Po raz drugi zabrzmiał dzwonek; parostatek »Liverpool« miał już odpłynąć do Ameryki. W tej chwili najtłumniejszego zakrzątnienia i zamieszki, gdy podróżnik podróżnika wyprzedzał, odpychał, potrącał, gdy majtek za majtkiem po pokładzie spieszył, po linowych drabinkach się spinał, bandery na wiatr rozwijał, gdy wzniesione w górę kapelusze i chustki jeszcze raz, może po raz ostatni, kraj rodzinny żegnały — w tej saméj chwili jakiś płaszczem owinięty mężczyzna stał spokojnie na brzegu, plecyma do statku obrócony, nie zważając na zgiełk i gwar odjazdu.

Było zimny, mglisty poranek; napróżno usiłowało słońce rozegrzać swémi promieńmi tę wilgotną, prawie zgęstniałą powietrznię; krnąbrność splinowego nieba Brytanii przemogła, a wielkie, jarzące się na niém oko słoneczne, wyglądało czerwone, jakby zapłakane od żalu.

Nieznajomy w płaszczu zapatrzył się był długo w domy Londynu, fantastycznie mgłą obleczone; razem spojrzał nagle ku słońcu w górę, i zawoławszy nadzwyczaj rzewnym głosem: »Wszak ciebie i tam ja nie stracę« — wybiegł szybko na pokład okrętu.

Wnet zabrzmiał dzwonek po raz trzeci, ozwał się wystrzał armatni, machina zaczęła coraz potężniéj dyszéć, oba ramiona okrętu zanurzyły się w toń głęboko, a okręt pognał rączo wzdłuż Tamizy. Wszyscy stali na pokładzie, bo ktoż może rozstawać się z ojczyzną, z ukochaną matką-ziemią, nie chcąc pożegnać ją ostatnim pocałunkiem duchowym, pocałunkiem oka? Wszyscy byli zgromadzeni na pokładzie, tylko owego nieznajomego w płaszczu nie było.

Nareszcie przecież światło słoneczne pokonało mgły ranne; dzień wypogodził się, a po jasnym, wesołym dniu, nastąpiła piękna noc gwiaździsta. — Nie mówiono już o teatrach i koncertach, niknącę wybrzeża Anglii nie wywołały już dostrzeżeń topograficznych, giełdowi spekulanci zatapiali się tém rozkoszniéj w ponętne bezdno swych planów i widoków, nawet ubogi wychodźca, który na dalekim amerykańskim zachodzie szukał wschodu swojemu szczęściu, marzył się już z radością w głębokich borach Ameryki, gdzie za jednym uderzeniem siekiéry, obalał szeregi pni odwiecznych. W téj cichéj, uroczystéj chwili wyszedł nasz nieznajomy na pokład. Zrzucił płaszcz z siebie, i mimo przejmujący chłód nocy, stał w lekkim, skromnym uniformie wojskowym. Prócz kilku majtków i sternika, był on sam jeden. Okręt płynął spokojnie kanałem między Angliją a Francyją. Po prawéj stronie szarzał zdala smug wybrzeży brytańskich. Blumen — tak nazywał się nieznajomy — wystąpił na samą krawędź okrętu, skrzyżował ręce na piersi, i z niewymownie gorzkim wyrazem spoglądał ku lądowi. »O, lądziel o, ziemio!«— rzekł sam do siebie zcicha—

»teraz dopiéro, gdy się w twojéj właściwej barwie, w barwie nocy, oku mojemu jawisz; niech się pożegnam z tobą! O, niegodna jesteś, aby słońce choć półpromieniem cię oświécało! Dla tego unikam ciebie, uciekam od ciebie na zawsze, boś ty zgubną człowiekowi—Witam cię uroczysta chwilo! — Obojętnie patrzysz na swoje w męczarniach ginące dzieci, o, ziemio, okropny pierwowzorze małpującéj cię Medei! Tyś matką? a tylko w katuszach przyjmujesz dzieci twoje na łono, z którego ssały? Patrz, sroga matko! Oto i ja w téj godzinie zamarłem dla ciebie, zamarłem na wieki, i bez wszelkiéj męki! Przestaję być synem twoim ziemio! ja wolny syn morza! A gdybym kiedy w twoje miał wrócić objęcia, natenczas niech mię morze w téj chwili zatopi, w któréj piersi twojéj się dotknę!«

* * *

Trzy lata minęły a jeszcze Blumen przysięgi swojéj nie złamał. Jako okrętowy lekarz w służbie londyńskiego stowarzyszenia żeglugi parowéj, odbył wielokrotne podróże w najodleglejsze kraje i strefy. Ale same tylko wybrzeża widziało z okrętu oko jego; i czy to skały, czy stepy piasczyste, czy kwietne łąki, czy gaje palmowe wzdłuż brzegów się ciągnęły; nigdy stopa jego tam nie postała. Jeźli okręt w porcie spoczywał, Blumen mieszkał natenczasz w swojéj ciasnéj kabinie, którą mu odczytywanie książek naukowych uprzyjemniało; gdy go na inny okręt przeznaczono, natenczas przewoził się Blumen w łodzi, i tamże dawny sposób życia rozpoczynał.

Jeden z okrętów towarzystwa londyńskiego miał odpłynąć do Aleksandryi. W nocy przed odjazdem umarł lekarz tegoż okrętu. Zlecono Blumenowi zastąpić jego miejsce. Spakował obojętnie wszelkie swoje mienie, i przewiózł się zrana na statek. Piérwszą postacią, którą na dość pełnym pokładzie ujrzał, była dziewica około lat dwudziestu, na którą wdzięki wszystkich angielskich piękności zlane być się zdawały. Z wilgotném okiem opiérała się o poręcz okrętowy, poglądając ku wieżom Londynu, błyszczącym w złocie poranku. Zdało się, jakby mówiła do nich: »Czyż was kiedy obaczę?« Tak piękna w swéj białéj szacie, tak blizka wstępu na okręt, a przecież tak niedbająca o tłum i zgiełk powszechny, wzbudziła uwagę i podziw wszystkich, którzy na okręt wchodzili. Mnogie lornety były na nią zwrócone, nawet niejeden niby przesycony już życiem światowiec, ciekawie się jéj przypatrywał, i gdyby nie stojąca opodal dama, w któréj trudno było niepoznać matki; jużby zapewne nie jeden natrętnik był ją z téj słodkiéj zadumy ocucić zapragnął. Podobnież i Blumen, znalazłszy swoję kabinę, i umieściwszy tam swój pakunek, wyszedł tym razem ile możności z pośpiechem na pokład, i chciwém okiem nieznajomą piękność uważał.

Serce jego, zahartowane żelazną wolą, znowu raz piérwszy po długim czasie mocno uderzyło.

Zaprawdę piękność jest najpotężniejszą władzą świata, gdyż nie potrzebuje ani woli ani zamiaru, aby kogoś podbiła. Jedno spojrzenie prawdziwéj piękności — a już serce i umysł drzą w uwielbieniu. Z uśmiechem poglądał Blumen zdala na wytwornych salonowych gapiów, którzy jużto fontaź u chustki poprawiając, jużto łańcuszkiem od zegarka się bawiąc, albo elegancką laseczką wymachując, i jakąś śpiewkę nucąc, z zadartą głową koło nieznajoméj się przechodzili, w rozpaczy, że nie mogą zwrócić na siebie jéj uwagi. Prawie z uciechą patrzył nasz lekarz na nich, jakby w duszy do siebie mówiąc: »O co wy tak namiętnie się dobijacie, tego ja wkrótce bez żadnych starań dostąpię.«

I tak się też w istocie stało. Odwiecznemu morzu zajedno, czy kto piękny czy brzydki, bogaty czy ubogi. Nim dwadzieścia cztéry godzin upłynęło, już była piękna nieznajoma, córka angielskiego konsula w Aleksandryi, który ją wraz z matką do siebie powołał, dotknięta chorobą morską — w kuracyi doktora Blumen. Szybko rozwinęła się choroba, szybko też nastą-

piło wyzdrowienie, a dostrzegłszy w Florentynie tęż samę piękność duszy co i postaci; bawił Blumen odtąd każdéj wolnéj od służby chwili, i kiedy mniemał niebyć natrętnym, w towarzystwie dam obu. Florentyna i jéj matka znalazły Blumena bardzo światłym i przyjemnym towarzyszem, który tylko tém dziwił, że nadzwyczaj starannie wszelkich napomknień o dawniejszych czasach unikał. Zresztą, chociaż teraz na innym służył okręcie, znano przecież i tu jego wstręt od stałego lądu, a tak wkrótce i nasze damy przez swoję pokojowę dowiedziały się, z jakim dziwakiem los ich sprowadził.

Cudny był wieczór, Ponad cieśniną Gibraltarską zstępywało słońce w złotą łaźń Oceanu. Balsamiczne tchnienie wietrzyka, chłódek mórz dwojga, malowniczy widok Ceuty i śmiałego Gibraltaru, mnogie historyczne wspomnienia, budzące tyleż żywszych uderzeń serca w łonie ukształconego człowieka — wszystko to użyczało temu wieczorowi niezwykłego uroku i lubości. Wszyscy zgromadzili się na pokładzie. Nawet serce najponurszego Anglika zadrzało chwilkę zachwytném wzruszeniem. Wszyscy używali rozkoszy tego wieczoru, tylko naszego Blumena znowu nie było. Dopiéro gdy ciemniejszy mrok zapadł, a na pokładzie nieco się przerzadziło, wyszedł on z swéj kabiny. Florentyna tym razem samotna, siedziała ciągle jeszcze na pokładzie, i w marzeniu patrzyła ku miejscu, gdzie dwa tak gorące kraje, jak Afryka i Hiszpanija, nito dwa serca chcą się zbliżyć do siebie, a zimne morze rozdziela je na wieki. Blumen przystąpił do Florentyny. Ona spojrzała mu w oczy.

»Pana nie było na pokładzie« — rzekła zcicha.

»Nie.«

»I ta spaniała — niestety, tak prędko niknąca scena, nie zdołała pana wywabić?«

»Dla mnie takie sceny nie są już nowością« — odpowiedział Blumen z uśmiéchem rezygnacyi.

»I chociaż! Takie sceny nie mogą się nigdy zestarzéć. I miałażby tylko sama nowość miéć powab dla nas?«

»To nie! Lecz — przebacz pani — nazwij to dziwactwem —«

Tu nastąpiło milczenie. Florentyna przerwała je zapytaniem:

»Powiedz mi pan, czy możesz być szczérym?«

»Pani dziwne pytanie mi zadajesz« — przejął Blumen z uśmiéchem.

»Proszę mi odpowiedzéć: czy umiész pan być szczérym; bo, że obecnie nim nie jesteś, wiém dobrze.«

Twarz Blumena przybrała wyraz powagi, usiadł przy Florentynie, wziął ją zlekka za rękę, i zapytał łagodnie: »A jeźli nim nie jestem, czyż to panią obejść może?«

»Żal mi pana. Zdajesz się być nieszczęśliwym.«

»Nikt nie jest szczęśliwym.«

»A najmniéj ten, kto podobne zdania objawia. Jakoż nie każdy je objawia.«

»Lecz każdy tego łatwo się nauczy. Czyż myślisz pani, że i ja nie marzyłem kiedyś o szczęściu. Ach, namiętniéj niżli ktokolwiek!«

Tu ruchem bolesnym zasłonił sobie oczy ręką.

»I zginęłaż już wszelka nadzieja odzyskania tego szczęścia?«

»Zginęła!«

»Nie! pan się zwodzisz. Tylko to, co za stracone mamy, jest niém w istocie!«

»Toż mam to za stracone.«

»Pan jesteś śrogim względem siebie i świata.«

»Świat — srogim — tak, pani, to właśnie są słowa, które — Ale nie mówmy o tém. Pani jesteś aniołem. Od lat wielu nic nie czułem. Dziś po raz piérwszy prysnęła nieco ta kora lodowa.«

»Więc mi pan pozwól, stopić ją do reszty. Jeźli świat krzywdę panu wyrządził, przebacz mu.«

»Albożem mu już nie przebaczył? Widziałażeś pani, abym kiedy ustawał w pełnieniu obowiązków, które światu winienem?«

*

»Nie chcesz już patrzéć na tę ziemię, na tę piękną ziemię! To jest grzéchem. Stałeś się synem fal — to sprzeciwia się naturze.«

»Bo też i to, co mnie wyrządzono, było przeciw naturze; przynajmniéj przeciw prawom natury. O, pani, tyś nader łaskawa! Chciałabyś rzucić promyk światła w ciemność reszty życia człowieka, który się już rozstał ze światem, i tylko w tém rozstaniu szczęśliwym się jeszcze czuć może. W podziękę za to, pozwól, niech wywołam przed twoje oczy kilka mglistych postaci z mego przeszłego życia. Ze szczętem dno téj toni rozmącić nie mogę. Już i dla siebie samego nigdy tego nie uczynię. Chcąc być spokojnym, trzeba zapomniéć. Zapomnienie w życiu duszy, jest tém, co sen w życiu cielesném.— Szczęśliwie upłynęły mi dni najrańszéj młodości, spędzone w kole ukochanéj rodziny, któréj błogosławieństwem wyposażony, udałem się do Niemiec, na akademiję. Zdolności moje wróżyły najlepiéj o mnie, a moja gorliwość, moja żądza sławy, nie zawiodła wzbudzonych nadziej. Poślubiłem najswobodniejszą ze wszystkich namiętności, sztukę lekarską; lecz niestety, kochałem wszystko co piękne i dobre, z daleko większym zapałem, niż to świat zwykle widziéć lubi.— Równomyślni przyjaciele stowarzyszyli się ze mną. Rozgorzałe dusze nasze roiły sobie świat piękniejszy; mniemaliśmy już widziéć, jak wszystko w swoje właściwe, przyrodzone prawa wstępuje, chociażeśmy w murach naszéj Muz świątyni zamknięci, nie znali wcale świata! Płomienie ducha, podsycane były płomieńmi serca. Wszyscyśmy kochali; kochali niewinnie i szczęśliwie. — Tak bądź co bądź, żyliśmy w szczérém, prawem dażeniu; gdy na rok przed ukończeniem moich nauk, większa część moich przyjaciół za jednym razem — zniknęła. I ja też zostałem wyrwany z koła znajomych. Tu jest noc mego życia. Trzy lata minęły, a ja wróciłem znowu światu, uznany za niewinnego. Zapomniałem wszystkie cierpienia, wszelką bolść i wściekłość. Jak chory po długiém przykuciu do łoża, po raz piérwszy świéże wiosenne niebiosa wita, po raz piérwszy w promieniach słońca się grzeje, po raz pierwszy majową woń w siebie wciąga, widokiem pierwszego kwiatu się pieści — tak i ja rozkoszowałem odzyskaną wolnością. Ona mi stała zrazu za wszystko, lecz wróciwszy do domu — zastałem — groby. Natenczas omierzła mi rozkosz wolności, natenczas rozpacz, nienawiść, głęboka, niewykorzeniona nienawiść, wylęgła się gadem w sercu. Miałem możnych przyjacioł w Londynie. Za ich wstawieniem się otrzymałem jako cudzoziemiec stopień doktorski i posadę lekarza okrętowego. Ostatnia chwila, jaką na lądzie spędziłem, była moją najsłodszą chwilą. Odtąd, jak pani powiedziałaś, stałem się synem fal morskich.«

Blumen mówił te słowa wyrazem najgłębszéj namiętności. Poglądając Florentynie w oczy, postrzegł, że należy mu się miarkować. Dodał więc ciszéj:

»Nieprawdaż, pani, jestto niegodną męża słabością, czuć tak tkliwie. Powinienem był zapomniéć. Lecz, ha! trzeba też umiéć być słabym.«

Poczém gorzko się uśmiéchnąwszy, powstał i chciał się pożegnać. Florentyna trzymała go silnie za rękę, i patrzyła mu w oczy wzrokiem najrzewniejszego uczucia, lecz oraz pełnym uspokojenia. »I nigdyż pan więcéj na ląd nie wrócisz?«

»Nigdy.«

»Nawet w tym razie, gdybym już tonęła, a pan miałeś mnie na brzeg wynieść?«

Jak błyskawica czarną zasłonę nocy przedrze, i znowuż ją szybko spoi, tak nagle zadrgały wszystkie rysy twarzy Blumena. Wyrwał szybko rękę z ręki dziewicy, zawołał boleśnie stłumionym głosem: »Dobra-noc!« i zbiegł piorunem na dół do swéj kabiny.

* * *

Tymczasem noc zapadła. Południowy rąbek widokręgu powlókł się czarniejszym niż zwykle mrokiem; oświécająca go od czasu do czasu zorza, stawała się

coraz jaskrawszą, a nim północ minęła, nie było już ani jednéj gwiazdy na niebie, morze rozdymało się wściekłą burzą, cała powietrznia zamieniła się w czarodziejską salę ognistą.

A jak bałwany okrętem tak trwoga miotała umysłami. Dla największéj części podróżników byłato najokropniejsza noc w życiu. Okręt łamał się mężnie z falami, i lubo nie został panem swéj drogi, przecież dotrwał nieuszkodzony aż do rana. Wtedy zagnała go burza ku wybrzeżom hiszpańskim, a zaledwie piérwszy promień słoneczny pomrokę przedarł; gwałtowne uderzenie wstrząsło całym okrętem, i dał się słyszeć straszliwy krzyk: »Łodzi! Łodzi! Okręt się rozbił!«

Tylko ten, kto już na ostatniéj nitce żywota wisiał, i jeszcze raz na ukochaną ziemię z toni się wydarł; może sobie wyobrazić ten pośpiech, tę ślepą, szaloną trwogę, z jaką wszystko na pokład się rzuciło, aby się do łodzi dostać.

I Blumen także nadleciał. Jedną ręką trzymał w objęciu Florentynę, drugą torował sobie usilnie drogę śród rozpaczającego tłumu. Poszczęściło mu się stanąć pomiędzy piérwszymi, którzy do łodzi zbiegli. Niemy, z wyrazem obojętności na niebezpieczeństwo, a z piekielną trwogą o licznie otaczających go ludzi, stał Blumen w łodzi jak niepochylna kolumna, trzymając Florentynę, i cisnąc ją do łona. Wszelako uczucia jego pozostały tajemnicą, gdyż oblicze jego zachowało tęż samę co zawsze spokojność. Serce Florentyny biło gwałtownie u jego piersi, lecz podobnie jak wszyscy, którzy się nie modlili, lub nie wyrzekali, i ona też ani słowa wyrzec nie mogła. Łódź była ludźmi nabita Wszyscy skłębili się w jeden konwulsyjny uścisk, aby nieustanne kołysanie się łodzi w przepaść kogo nie wrzuciło.

Już dzięki saméj burzy, która spienione fale ku brzegom gnała, zbliżano się do lądu; gdy oto naraz kolosalny bałwan podważa łódź, podnosi ją w górę, i przewróconą, w bezdno pogrąża!

Rozległ się wrzask przeraźliwy, a w następnéj chwili wszystko co tylko pływać umiało, wydobyło się na powierzchnię. Do tych należał i Blumen z swoim drogim ciężarem w ramionach. Trzymał nieżywą Florentynę silnie jedną ręką przy sobie, a drugą przebijał się przez morskie wały, które srodze nim miotając, wnet ku wybrzeżu go niosły, wnet wstecz na morze go porywały; aż wreszcie śmiertelnie wysilony, na krawędź lądu się wydostał!

Blada, z przyległą do ciała zmoczoną szatą, z zawartą powieką, leżała Florentyna na miałkiém, piasczystém brzegu wzburzonego morza, jakby posąg marmurowy. Zadyszały Blumen klęczał jéj u nóg, i z trwogą patrzył na jéj postać nieruchomą, »Florentyno!« zawołał boleśnie, skoro pierś jego znowuż w głos zdobyć się mogła.— Florentyna po małéj chwili, dała znak życia, rozwarła zwolna oczy, spojrzała na swego zbawcę, uśmiéchnęła się jak w podziękę — lecz w tejże saméj chwili zatoczył się z wysokości morza dzikim pędem ogromny bałwan, podniósł i rzucił Florentynę daléj na brzeg, klęczącego zaś Blumena porwał z sobą w głąb morza. Napróżno Blumen raz jeszcze ramiona do walki z rozhukanym żywiołem wyciągnął; siły go opuściły — przez chwilkę mignął na powierzchni — i zniknął! Może to była ta sama fala, która słuchała jego przysięgi nie dotknięcia się nigdy swą stopą lądu, a teraz za złamaną przysięgę, mściwą spełniła sprawiedliwość! Zapytanie Florentyny: »Nawet i w tym razie, gdybyś mnie na brzeg miał wynieść?« zostało rozwiązane.

Matka Florentyny ocalała na drugiéj, szczęśliwszéj łodzi. Po kilku tygodniach zawinęły matka i córka w Aleksandryi; wszakże nie długo cieszył się konsul córką swoją — poszła ona wkrótce za synem fal, chociaż nie do falistego, jednakże do wiecznego grobu!

Cmentarz Père-Lachaise.

Wstąpmy na cmentarz Père-Lachaise, najpiękniejszy ze wszystkich cmentarzy paryzkich. Wszędzie obfitość kwiatów, bujna murawa, gałęziste gaje; groby są tyl-

ko przydatkami i ozdobą tego ogrodu. Trudno z większą zalotnością tak smutnego dopełniać obowiązku. Jestto przepyszne miasto nieboszczyków, dokąd się ludzie na stare lata usuwają, aby spokojnie tamże zamieszkać. Wszelako potrzeba szczególnego smaku do rozmiłowania się w tym grobowym świecie, jakkolwiek on jest pięknym. Ta murawa wzrasta z podejrzaną bujnością. Te róże podobne są suchotniczemu rumieńcowi młodych dziewcząt, które odkwitują nie rozkwitnąwszy. Cmentarz Père-Lachaise ze swémi cyprysami, pinijami, płaczącémi wierzbami zdaje się być urzeczywistnieniem snu jednego z największych poetów włoskich. Nic nie wyobraża nam tak żywo lasu zaczarowanego, w Tassa »Jerozolimie wyzwolonéj«, jak widok tego miejsca, na które patrząc w zadumaniu, mniemamy, że z każdego z tych drzew, musiałaby za dotknięciem siekierą, krew wytrysnąć!

Arystokratyczna część ludności tego cmentarza, zamieszkuje wyższą jego okolicę. Tamto grobowce możnych. Tamto panuje przepych, rozrzutność. Tam wznoszą się pomniki, które trzy do cztérech kroć sto tysięcy kosztowały. Grobowce bohatérów w osobnéj skupione stronie. Nad wszystkie wznosi sie śliczny grobowiec Masseny: jedyna piramida, przemawiająca do widzów cztérma czerniejącémi na czele słowy: »Rivoli, Zurich, Genua, Esslingen«. Opodal spoczywają Suchet, Gouvion, Saint-Cyr, Gobert. Mogiła marszałka Ney obudza rzewne spółczucie. Jestto prosty kopiec, ogrodzony żelazną kratą. Ani kolumny, ani głazu, ani napisu. I jakiż napis można było położyć? jakiż byłby wymowniejszym od tego okropnego milczenia! I co za straszna zemsta, ta niema zemsta! Na jednéj z akacyj, stojących w pobliżu tego grobu, czyjaś ręka następne niezgrabnym nożem wyrzezała słowa: »*Sta viator, heroëm calcas* Stój wędrowcze, bohatéra depcesz.« Nie jestże to najtreściwszy ze wszystkich napisów nagrobkowych? — Zwłoki Moliera i Lafontaina, przeniesione tu niedawno, spoczywają tuż obok siebie. Powinowactwo ich jenijuszów, usprawiedliwia to sąsiedztwo po śmierci. Potém widzimy *pêle-mêle* nagrobki wszelkich reputacyj: *abbé* Sieyes, Bernardin de St. Pierre, Cambacères; Decrès, minister marynarki za cesarstwa; Martignac i Kazimierz Perrier, któremu składką publiczną pomnik wzniesiono. Jakby w pełnym słowików gaju leżą obok siebie pani Genlis, Grétry, Bellini, Herold, Delille; Bouflers, La Harpe i t. d. Prawdziwém arcydziełem jest grobowiec Aquada, który 150.000 franków kosztował. Ściany boczne przyozdobione są dwoma posągami, wyobrażającémi: Sztukę i Dobroczynność. Pomnik pani Demidoff wykuty jest we Włoszech z kararyjskiego marmuru, i został z największą starannością i pracą, bryła po bryle na cmentarzu Père-Lachaise ustawiony. Grobowiec sławnego rzeźbiarza Cartellier składa się z sześciu posągów, wyciosanych przez jego najznakomitszych uczniów. Na grobie bankiera Sziklera stoi alegoryczna figura, licząca talary; może to być godło bogactwa lub dobroczynności zmarłego, jakie kto temu znaczenie nadać zechce. Grobowiec Baujours składa się z ogromnéj piramidy, wznoszącéj się nad kruchtą, którąby ośmdziesiąt osób pomieścić mogła. Najciekawszą jednakże osobliwością jest grobowiec Abelarda i Heloizy. Oboje kochankowie przedstawieni są na pomniku, według zwyczaju średnich wieków, w całéj postaci, leżąco. Ponad pomnikiem w stylu gotyckim wznoszą się płaskorzeźby z opactwa Chalons. Nie możemy sobie wystawić, co za mnóstwo wieńców i bukietów przez cały rok ten grobowiec ozdabia. Pochodzą te upominki po większéj części od nieszczęśliwych kochanków, którzy w ten sposób upominek spółczucia swoim pierwowzorom miłości zprzed siedmiu set lat, składają.

Liczba grobów »na wieczne czasy« dochodzi dziewięćdziesięciu tysięcy. W ostatnich czasach wyszedł zakaz sprzedawania grobów na wieczne czasy, godzien wszelkiéj pochwały, gdyż inaczéj według najściślejszego obliczenia, byłby cmentarz za lat dwadzieścia tak przepełnio-

nym, iż musianoby znowuż znaczną przestrzeń ziemi dokupić, a wreszcie jeszczeby i tak miejsca nie stało. Umyślono więc zaradzić mnożeniu się wieczystych grobów, przepisując pewną sumę, którą krewni coroku za grób opłacać winni. Zważywszy, iż wspomnienia rodzinne z czasem się zacierają, niektóre zaś rodziny zupełnie wymrzeć mogą; godzi się przypuścić, że w przeciągu lat dwudziestu, ze stu takich miejsc płatnych, przynajmniéj ośmdziesiąt się opróżni. Jestto ze wszechmiar słuszną rzeczą. Bo śmierć nie powinna być bardziéj wymagającą niż życie. Życie ludzkie na ziemi jest tak krótkie, dla czegoż miałby grób do dłuższéj trwałości prawo rościć? Niech groby pozostaną nietknięte, dopóki nasza miłość, nasza pamięć dla zmarłych się zachowują, dopóki my żyjemy, aby ich opłakiwać. Z naszą miłością i naszym życiem, niech też dla obojętnéj potomności, popioły naszych kochanych, z powierzchni ziemi znikną.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 52gi i zawiéra: 1) Wyimek z listu Franciszka Abgarowicza, z Szleisheimu koło Mnichowa. 2) Jak zapobiegać, by się amoniak z obornika nie ulotniał? 3) Rada dla fabryk cukrowych z systemem prasowym (cukrowni prasowych). 4) Pod jakiemi warunkami można się spodziewać korzyści z nawodniania łąk. 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 6) Uwiadomienie potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 26ty i zawiéra, prócz mód, następnjące artykuły: 1) Szymon Szymonowic. Przez Augusta Bielowskiego. 2) Kronika muzyczna. 3) Teatr. 4) Nowości. 5) Rozmaitość.

Chloroform miast eteru siarkowego. Niedawno odkryła chemija ciało pod nazwą *chloroformu* znane, które ostatniémi czasy zajęło nader ważne stanowisko naukowe, jako posiadające w wyższym stopniu niż eter własność odurzania i przytępiania czucia w żyjącym organizmie. Zagraniczne pisma zawiérają już opisy szczęśliwie wykonanych operacyj przy pomocy tego środka, tym samym sposobem jak eter przez oddychanie do płuc wprowadzonego. Dotąd przekonano się, że chloroform działa pewniéj i prędzéj niż eter, że mniéj drażni płuca, i że użycie jego jest daleko prostsze i łatwiejsze, gdyż nie wymaga żadnego przyrządu. Chloroform jest nadzwyczaj lotnym, ma woń bardzo przyjemną, z razu lekko eteryczną, a roztarty w palcach, aromatyczną, owocową. Smak miły, słodkawy. Ani wątpić, że chloroform odbierze panowanie eterowi.

Osobliwsze pismo czasowe wychodzi od 18 miesięcy w Paryżu. Powstało ono następującym sposobem. Pewna uboga rodzina udała się o wsparcie do znanéj sobie oddawna wdowy, która miernie lecz w dość dobrym stanie z dwoma córkami żyła. Wdowa dała co mogła, lecz jedna z córek mniemała, że taki datek nie wiele pomoże i starała się wynaleźć środek, jak tym ubogim ludziom trwale dopomódz. Nareszcie przychodzi jéj na myśl wydawać dziennik pod nazwą »Wsparcie, *Le secours*.« Ułożyła program, zawiadomiła o tém wszystkich znajomych i zebrała 14 prenumerantów, którzy rocznie po 6 franków płacić zobowiązali się. W miesiąc późniéj wyszedł piérwszy numer, mały zeszyt z kilku kartek złożony, obejmujący różne artykuły pióra wydawczyni. Przepisywała je ona czternaście razy, i sama egzemplarze roznosiła. Po niejakim czasie nabyło to przedsięwzięcie rozgłosu. Po roku mozolnéj pracy dokazała szlachetna dziewczyna, że pismo jéj zyskało 50 prenumerantów, a ponieważ przepisywanie tylu egzemplarzy kosztowałoby zbyt wiele pracy i czasu, wychodzi ten dziennik dobroczynny w egzemplarzach autografowanych, i udziela swoim dochodem wsparcia kilku biednym rodzinom. Teraz już większe pisma paryzkie zaczynają ogłaszać tę dobroczynną pracę, która wszedłszy w modę, wnet po całym Paryżu się rozkrzewi. Wszakże nie można wydawczyni nakłonić do wymienienia swego nazwiska.

Poradnik dla skrofulicznych. Doktor Adolf Löwenstein, znany powszechnie lekarz chorób skrofulicznych, wydał dzieło o tychże chorobach, które z wielkiém zajęciem przyjęte zostało. Autor, od wielu lat naczelny lekarz szpitalu chorych dzieci, udziela nielekarzom swoich nader licznych doświadczeń, chcąc tym sposobem przyczynić się do wstrzymania téj coraz mocniéj rozszerzającéj się niemocy. Nie tylko tysiące dzieci padają ofiarą skrofułów, a przynajmniéj w skutek takowéj stają się na całe życie kalekami, ale i wielka liczba dorosłych, takowéj niemocy ulega, bez najmniejszéj o tém świadomości. Najróżnorodniejsze choroby nerwowe i organów brzusznych, a mianowicie choroby kobiet, niczém inném nie są według przekonania autora, jak tylko właściwe formy choroby skrofulicznéj. Wielu takich chorych znalazło pomoc i skuteczną radę u autora, bez osobistego przedstawiania się, i jedynie drogą piśmiennéj korespondencyi. Lecz do tego potrzeba koniecznie, aby chory przysyłał objaśnienie na pewną liczbę zapytań, które są dołączone do powyższego dzieła, mającego głównie na celu zmniejszenie najsroższéj plagi naszéj generacyi, to jest choroby skrofulicznéj.

Najnowszy romans Aleksandra Dumasa nazywa się »*Vicomte* de Bragelone.« Jestto dalszy ciąg dalszego ciągu »Trzech Muszkietyjerów.« Piérwszy dalszy ciąg nazywał się jak wiadomo »*Vingtans aprés*.« Ten zaś najnowszy ciąg maluje czasy Ludwika XIV. Wszystkie główne osoby rzeczonéj epoki, jak panna de Lavalliere, panie de Montespan, Maintenon, Sevigné, panowie Fenelon, Molière, Racine, Boileau, La Fontaine i t. d. występują na widok w tym romansie.

Nowy pomnik dla dziewicy Orleańskiéj. Miasto Orleans każe obecnie na pamiątkę Joanny d'Arc wystawić posąg konny, mający być dziełem jednego z najznakomitszych artystów Francyi, a przedstawiający dziewicę Orleańską w téj chwili, kiedy ona na wiadomość o pierzchaniu wojsk angielskich przed jéj sztandarem, skłania oręż ku ziemi i z wzniesionémi w niebo oczyma Bogu dzięki zasyła. Joanna siedzi na koniu w hełmie i w pancerzu.

Muzyka gminna Arabów. Pewien turzysta francuzki opisuje ją w sposób następujący: Gdy wejdziem do kawiarni Maurów, która jest cała dymem tytuniowym zaćmiona; postrzegamy w kącie na matach siedzącą orkiestrę arabską, składającą się z czteréch artystów. Dyrektorem téj orkiestry jest ten, który niby gra na skrzypcach o trzech strunach, zwanych *Kemeogiah*. Lecz arabscy kapelmistrze nie po-

przestają na samém rzempoleniu na skrzypcach i potrząsaniu w takt głową, owszem niemiłosiernie jeszcze przy tém śpiewają. Drugi członek orkiestry gra na jakiéjś niby mandolinie czy gitarze, *quitra* zwanéj, i także śpiewa. Trzeci muzyk dmie na flecie, a ostatni bębni z wszelkich sił na *trabuce* czyli krążku z palonéj gliny. Jeden koniec u tego instrumentu jest skórą obciągnięty. Trabukarz trzyma go pod lewą pachą i bębni na nim prawą ręką bez miłosierdzia. Odgłos tego niby-bębna wprawia Arabów w zachwycenie, i żadna uczta bez niego się nie obejdzie. Harmonii Arabowie nie znają, a nasza muzyka czyni na nich przykre wrażenie. Felicien Dawid naśladował tę orkiestrę bardzo zręcznie w swojéj »Pustyni.« Akompanijament śpiewu, którego Arabowie najczęściéj używają, składa się z kolejnego uderzenia oktawy. Śpiewki Arabskie mają zwykle tylko po ośm taktów, lecz bardzo wiele zwrotek; przeco niejedna piosnka trwa przeszło pół godziny, i bywa z największą uwagą słuchana.

W i e r n y s ł u g a. Wiedeński poeta i założyciel tamecznego stowarzyszenia ku ochronie źwiérząt, Castelli, opowiada: Pomimo towarzystwa opiekującego się źwiérzętami, są jednakże tacy, co biédne psy męczą, do taczek i wózków zaprzęgają, a karmią ich prawie wiatrem. O, gdyby ci nieludzcy wiedzieli, co to za poczciwe zwierzęta, inaczéjby z niémi się obchodzili. Nowy dowód wierności i przywiązania psa do człowieka zdarzył się niedawno: Pewien mieszkaniec Wiédnia wyuczył swego Azora przynosić mu zawsze tabakę. Pies wyskakiwał zwykle na stół pod oknem, pan wskazywał mu sklep z tabaką, przed którym zamiast wystawy stał Turek drewniany, włożył pieniądze w tabakierkę; pies brał je w pysk i leciał na przeciwko. Tam go już znali, i dawali mu zawsze tabakę, którą wprost panu przynosił. Późniéj wypadło panu przenieść się do Pragi. Tam mieszkając przez parę dni, spojrzy przez okno, i widzi także na przeciwko sklep z tabaką. Stawia więc stół przy oknie, i zwykłym sposobem wyprawia psa po tabakę. Pies pobiegł, ale godzina po godzinie mija, a nie powraca. Pan tém zaniepokojony, idzie go szukać, wypytuje w sklepie i w innych miejscach, podaje do gazet, przyrzekając nagrodę; nic nie pomogło, psa jak niéma tak niéma. W tydzień czy późniéj, słyszy drapanie do drzwi, otwiera, a oto psina wczołga się do pokoju z tabaką. Biédny Azor biegał aż do Wiédnia po tabakę, a wysilony tą spieszną podróżą, zdechł nazajutrz.

N i e o d r o d n y s y n A l b i o n u. Synowe pysznéj Brytanii miewają niekiedy pomysły, któreby w innych krajach mogły im zjednać miejsce w domu szalonych. Swieżo tego przykładem był Anglik zamieszkały w jednym z pałaców przy ulicy Rivoli w Paryżu. Doznawszy gwałtownego napadu splinu, napchał sobie kieszenie złotem, i pospieszył do wykwintnéj restauratorni przed bramą Maillot, gdzie sute śniadanie, zroszone najprzedniejszém winem, miało dać początek do odzyskania dobrego humoru. Po śniadaniu kupił jeszcze u restauratora parę serwet i wsiadł z niemi do krytego kabryoletu, który najął na kilka godzin. „Dokąd?“ spytał woźnica. „Ruszaj i zatrzymasz się nad brzegiem Sekwany pod Asnier.“ Kabryolet potoczył się i stanął na wskazanem miejscu. Długo czekał woźnica aż Anglik wysiędzie, a myśląc, że może po wyborném śniadaniu zasnął; cieszył się w duchu, iż czekając, kilka franków więcéj zarobi. Zapalił sobie z nudów fajeczkę i tak upłynęło kilka godzin. Na reszcie zaczął woźnica niepokoić się: zsiadł więc z kozła, otworzył drzwiczki do kabryolki, aby obaczyć, czy jego gość niepostrzeżony nie umknął. Aż tu jak z procy wyskoczył Anglik do naga rozebrany, i jednym susem był już w Sekwanie. Przestraszony woźnica pospieszył wołać pomocy, ale nim z kilką wioślarzami powrócił, postrzegł Anglika spokojnie z wody wyłażącego i wracającego do karetki, w któréj osuszywszy się kupionémi serwetkami, na nowo się ubrał. Tak oryginalnie użyta kąpiel zimna, miała rzeczywiście przywrócić mu dobry humor.

B o s k o w P e s z c i e. Przybywszy do tego miasta chciał Bosko ułożyć się z dyrektorem teatru niemieckiego. Atoli gdy jeden z dyrektorów teatru węgierskiego o tém wiadomość powziął, i obawiał się aby Bosko do teatru niemieckiego publiczności nie ściągnął, zaczęto mu ze strony węgierskiéj bardzo świetne czynić ofiary, na które też Bosko przystał. »Ale« — zapytał dyrektor węgierski — »umiész pan po węgiersku?« — »*Niks*« odpowiedział Bosko — »Ha, jeżli pan po węgiersku nie umiész, tedy życzylibyśmy sobie, abyś pan po francuzku sztuki swoje tłumaczył« — »Ale *signore*, jeżeli publikum *niks* nie umié *français*, to *niks* będzie rozumiał *explicazione* i moje sztuki.« — »Bądź co bądź« — rzecze dyrektor — »po niemiecku nie pozwolimy panu mówić« — »Ja *signore niks* umiała po niemiecka; ja umiała *bisl* francuska, *bisl* włoska, *bisl* niemiecka; ja tak pomieszała wszyskie jęsyk, że nie będzie jęsyk niemiecka, a będzie *tutti frutti*, *bene benissime!*« Ten argument został przyjętym, i tak pokazywał Bosko swoje sztuki w teatrze węgierskim. Donosi o tém wiédeńska gazeta teatralna.

O d k ą d ż e l a z n e k o l e j e w y n a l e z i o n e, cała natura szybcéj oddycha! Wszystko żywszy, gorliwszy, pośpieszniejszy tryb życia przybrało. Świadkiem tego fabryki i dzieci, w pieluszkach już koncertujące, wszelkiémi popisujące się sztukami! Ale nie dość na tém! Nie tylko mechanika wydoskonaliła się, lecz oraz i siły umysłowe. Wyrostki, które, po staroświecku mówiąc, nie dawno zpod rózgi wyszły, stroją miny znawców i wyrokują stanowczą o piękności. Pacholęta, które ledwie zpod paska uciekły, chodzą o kiju, palą z morskiéj pianki, wtrącają się do rozmowy starszych, dymią im pod nos sygarami i kilką frazesami szkolnémi! Żaczki maleńkie prawią o swojém szczęściu u kobiet! — Wszedłszy niedawno do bardzo odwidzanej kawiarni, zastałem pierwszy pokój napełniony zgrają chłopiąt o 12, 14stu latach, palących i grających w bilard, jak starzy. Byli pomiędzy niémi malcy, którzy prawie kija do grania podźwignąć nie mogli. Jeżli to tak dalé pójdzie, tedy kawiarnie nasze staną się istnémi salami ochrony małych dziatek!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.